

TEATR

Tak można by najkrócej zrecenzować najnowszą inscenizację „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego zrealizowaną przez Krzysztofa Nazara na jubileusz pięćdziesięciolecia Teatru Powszechnego w Warszawie.

Z pewnością ta inscenizacja pozostaje w opozycji do innych. Zarówno jeśli idzie o interpretację ideową dramatu, jak i o rozwiązania formalne. Mam mieszane uczucia po obejrzeniu tego przedstawienia, z którego wychodzi się z wieloma pytaniami pozostającymi bez odpowiedzi. Np. sprawa drzwi. Reżyser zastosował na scenie system drzwi zdalnie sterowanych, rozsuwających się oraz przesuwających się tam i z powrotem. Wyeksponowanie na pierwszym planie (wizualnym i dźwiękowym) owych nieszczęsnych drzwi, odsuwa na dalszy plan wszystkie pozostałe elementy spektaklu. Słowem: w tej inscenizacji główną rolę grają drzwi, które nie tylko zasłaniają aktorów i paraliżują ich działania, ale i skutecznie zagłuszają dialogi, albowiem dźwięk owego przesuwania niemilosiernie katuje uszy widza. Chyba że zawiedzie technika i drzwi nie ruszą się z miejsca, tak jak to się stało na „moim” spektaklu. Ale to też niczego nie rozwiązuje: nasze uszy wprawdzie odpoczywają, za to „ugotowani” aktorzy zasłonięci od widowni owymi zablokowanymi

drzwiami coś grają. Tylko co? Trudno dociec widząc jedynie „czyjeś ucho, kawałek łokcia i wystające zza drzwi kolano. Tym bardziej że „elementy” te nie należą do jednej postaci. Choć tego też nie jestem pewna, albowiem jest to scena z Osobami dramatu, czyli zjawami. Zatem, powinna być nierealistyczna (choć tu akurat nie jest). No, a poza tym wszystko się czerwieni, bo autorka kostiumów, Magdalena Teslawska ubrała Osoby dramatu na czerwono.

Oczywiście, trudno winić reżysera, że główna rola (drzwi) ma kaprysy. Ale za błędy w obsadzie odpowiada reżyser. A

karzem w tych rolach: Władysław Kowalski i Mariusz Benoit) tutaj sprowadzona została do sportowej próby sił: kto komu wydrze okno? A przecież jest to jedna z najważniejszych scen w ogóle w naszej literaturze scenicznej – rachunek sumienia polskiej inteligencji. Czy np. scena Gospodarza (Piotr Machalica) z Wernyhorą (Marek Perepeczko), gdzie obaj panowie schowawszy się za drzwiami mówią dialog – jakże istotny przecież dla rozwoju wydarzeń – wyskakując raz po raz zza tychże drzwi (konwencja zegara z kukułką?), co sprawia, że sens owego dialogu – z powodu wspomnianej „kukul-

ki” – umyka uwagi widza. Że nie wspomnę już o upiornym Upiorze (Sylwester Maciejewski), który ociekając krwią wynurza się nagle z balii z wodą i potem spędza sen z powiek co wrażliwszym widzom. Sporo tu „pustych”, nic nie znaczących scen, na które widownia czasem reaguje znużeniem, a czasem śmiechem. Nierzadko wbrew intencjom reżysera. Tam zaś, gdzie zgodnie z wolą reżysera ma być śmiesznie – nie zawsze jest. Ot, jak choćby w przypadku scen z Księdzem granym przez Krzysztofa Stroińskiego. Gruba, karykaturalna kreską nary-

sowana postać może jedynie wzbudzać uczucie litości dla reżysera. Bo aktora – nadgorliwie wypełniającego polecenia reżysera – pod tymi pokracznymi wygibasami w ogóle nie widać. Rozumiem, że obecna „moda” polityczna na koniecznie negatywny, jako „jedyne słuszny” (skąd my to znamy?) wizerunek księdza (lub zakonnicy) stała się już obowiązująca dla reżyserów. Tylko że owo prześciganie się w „pomysłach” przynosi – jak widać – skutki niezmiernie żenujące artystycznie. A ponadto: ileż tego można oglądać?

To „Wesela” jest naznaczone żałobą od początku do końca.



W „Weselu” na deskach warszawskiego Teatru Powszechnego – Joanna Szczepkowska (Rachela) i Marcin Żebrowski (Poeta)

Stypa zamiast „Wesela”

także za to, że „położył” II akt „Wesela”. Najważniejszy. Burząc konstrukcję utworu przez umieszczenie Osób dramatu już na samym początku spektaklu, gdzie współegzystują z postaciami realnymi – reżyser wprowadza zamęt znaczeniowy i osłabia wymowę zarówno Osób dramatu, jak i całego przedstawienia. Ponadto zinterpretowanie Chochola (Tomasz Sapryk) w konwencji horroru (jakiś straszny potwór!?) pozostaje w sprzeczności zarówno z literą tekstu, jak i z logicznym wynikaniem następujących po sobie scen. Także scena ze Stańczykiem i Dzienni-

ki” – umyka uwagi widza. Że nie wspomnę już o upiornym Upiorze (Sylwester Maciejewski), który ociekając krwią wynurza się nagle z balii z wodą i potem spędza sen z powiek co wrażliwszym widzom. Sporo tu „pustych”, nic nie znaczących scen, na które widownia czasem reaguje znużeniem, a czasem śmiechem. Nierzadko wbrew intencjom reżysera. Tam zaś, gdzie zgodnie z wolą reżysera ma być śmiesznie – nie zawsze jest. Ot, jak choćby w przypadku scen z Księdzem granym przez Krzysztofa Stroińskiego. Gruba, karykaturalna kreską nary-

A raczej atmosferą pogrzebu, w sensie grzebania idei (tu; idei utworu, a zatem i samego Wyspiańskiego), epoki, mentalności itd. itd. Począwszy od szarości w kostiumie postaci (z wyjątkiem Osób dramatu i Isi) i wystroju sceny (dekoracje Krzysztofa Tyszkiewicza), poprzez odjęcie przedstawieniu całej warstwy muzycznej (owa cisza destrukcyjnie wpływa na rytm spektaklu i na melodię słowa, które uległo tutaj „sprożeniu”) aż po finałową scenę, gdzie nie ma Chocholego tańca. Ale za to jest interesująca, czytelnie podana i jakże trafnie wpisująca się we współ-

czesność – myśl reżyserska. Oto na scenę wkracza Isia (Jowita Miondlkowska). Bez skrupułów, energicznie wyrzuca wszystkich za drzwi i zmiata izbę. Wyraźnie odcina się od całej reszty, ubrana kolorowo, realna (aż nadto realistyczna). Nie ma w niej nic z metafizyki. Ona na pewno nie da się zepchnąć na margines z głównego szlaku. Wprawdzie dopiero przyszła, ale ta bronowicka izba już jej. Jest tworem innej, nowej, wspanialszej epoki. Epoki należącej do pokolenia młodego, przedsiębiorczego, nie obciążonego żadną przeszłością.

Ten przejmująco pesymistyczny w swej wymowie finał, świetnie pomyślany inscenizacyjnie i ładnie aktorsko zagrany nie umniejsza jednak oceny krytycznej spektaklu jako całości. Nie umniejsza jej także kilka świetnie zagranych ról, jak np. doskonały Czepiec w wykonaniu Kazimierza Kaczora (najlepiej zagrana rola w spektaklu), Gospodyni Joanny Żółkowskiej czy Panna Młoda Katarzyny Herman. Generalnie jednak jest to spektakl niespójny aktorsko. Poszczególne role za bardzo odstają od całości przedstawienia, są zbyt indywidualnymi rolami. Cokolwiek by się jednak nie powiedziało, jest to obecnie jedyne przedstawienie, które pobudziło krytyków i środowisko teatralne do sporów na prawdę merytorycznych.

TEMIDA STANKIEWICZ-
-PODHORECKA